

RE-HORACHTE

MARTWY CHŁOPIEC



DARIUSZ
KANKOWSKI



RW2010

DARIUSZ KANKOWSKI

RE-HORACHTE

Martwy chłopiec

druga część druga cyklu

Wydawnictwo RW2010 Poznań 2014

Redakcja: Joanna Śłużyńska

Korekta: Natalia Szczepkowska, Robert Wieczorek

Redakcja techniczna zespół RW2010

Copyright © Dariusz Kankowski 2014

Okładka Copyright © Mateusz Śłużyński 2014

zdjęcie na okładce © aleshin / Fotolia.com

zdjęcie na okładce © S_E / Fotolia.com

zdjęcie na okładce © closeupimages / Fotolia.com

Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2014

e-wydanie I

ISBN 978-83-7949-105-6

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Oficyna wydawnicza RW2010

Dział handlowy: marketing@rw2010.pl

Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

[Kup książkę](#)

Patronat medialany nad powieścią objął portal:

[Creatio Fantastica](#)



[Kup książkę](#)

Spis treści

Prolog.....	6
Część I: Zjednoczenie.....	7
Rozdział I: Zapomniana przepowiednia.....	8
Rozdział II: Nowy początek.....	18
Rozdział III: Dzień tajemnic.....	37
Rozdział IV: Turniej.....	55
Rozdział V: Czerwony kryształ.....	70
Część II: Zdrajca.....	82
Rozdział VI: Dawno temu w Chinach.....	83
Rozdział VII: Najstarszy.....	103
Rozdział VIII: Złodziej.....	117
Rozdział IX: Ból i ukojenie.....	130
Rozdział X: Góra Błękitnego Smoka.....	142
Rozdział XI: Pragnienie zemsty.....	152
Rozdział XII: Za wszelką cenę.....	163
Rozdział XIII: Najważniejsze wspomnienie.....	174
Rozdział XIV: Czarny Lew.....	186
Rozdział XV: Ostatnie spojrzenie.....	199
Część III: Kraina jaguara.....	210
Rozdział XVI: Pod obserwacją.....	211
Rozdział XVII: Strażnicy.....	222
Rozdział XVII: To tylko gra.....	231
Rozdział XIX: Tam, Gdzie Panuje Światło.....	240
Rozdział XX: Noc i aligator.....	248
Rozdział XXI: Bitwa.....	260
Rozdział XXII: Pod powierzchnią.....	271
Rozdział XXIII: Chicoatl i Huitzitlanu.....	281
Rozdział XXIV: Ofiara.....	290

Część IV: NIEBO.....	298
Rozdział XXV: Piaski czasu.....	299
Rozdział XXVI: Sprawy życia i śmierci.....	314
Rozdział XXVII: Syn Horusa.....	326
Rozdział XXVIII: Słońce wszystkich światów.....	337
Rozdział XXIX: Klucz.....	351
Rozdział XXX: Sługa Re.....	364
Rozdział XXXI: Lustro Duszy.....	376
Rozdział XXXII: Komplikacje.....	385
Rozdział XXXIII: Faraon.....	393
Rozdział XXXIV: Upadek aniołów.....	405
Rozdział XXXV: Roziskrzzone Niebo.....	421
Rozdział XXXVI: Początek końca.....	442
Oficyna wydawnicza RW2010 proponuje:.....	454

Dlatego prawo jest od nas dalekie i sprawiedliwość do nas nie dociera. Oczekiwaliśmy światła, a oto ciemność, jasnych płomieni, a kroczymy w mrokach.

BT (Iz 59,9)

Synowie Boga, widząc, że córki człowiecze są piękne, brali je sobie za żony, wszystkie, jakie im się tylko podobały (...) a także później, gdy synowie Boga zbliżali się do córek człowieczych, te im rodziły. Byli to więc owi mocarze, mający sławę w owych dawnych czasach.

BT (Rdz 6, 2-4)

*I see angels burning, falling down in ruins
Looking down I see me, I'm my own enemy.
Children of Bodom, Downfall*

*I can see the angels falling, bury them deep into blood red sky
I can hear the last one breathing, suffocate, kill that everyone die...
Catamenia, Eternal Winter's Prophecy*

*I see the angels falling... their wings so dark
The black spear of the night impales their hearts
I raise my hands towards the sky
And I feel the power of the glowing light.
Eternal Tears of Sorrow, The Seventh Eclipse*

*It's raining dead angels from the sky
Cold and stiff, oh my.
Tiamat, Raining Dead Angels*

*Anioł za aniołem, spowity ogniem, z płonącymi skrzydłami, wrzeszcząc, spadał na ziemię.
Philip Pullman, Bursztynowa Luneta*

*Największym powodem do chwały nie jest to, że nigdy nie upadamy,
ale to, że potrafimy się po upadku podnieść.
Konfucjusz*

Prolog

– Przynajmniej nasza przygoda się zakończyła – stwierdził Radek. – Mamy za sobą te wszystkie okropieństwa, co nie?

Nie spodziewał się odpowiedzi na to retoryczne pytanie, zwłaszcza polemizującej.

– Nie sędzę, by tak to się miało skończyć – westchnął Krystian.

– Dlaczego?

Tym razem Krystian zwlekał z udzieleniem odpowiedzi. Wyglądało, jakby przywoływał jakieś odległe wspomnienie.

– Wiem to. Czuję. Tamten demon nie zginął. Nie wiem, jak długi będzie odpoczynek. Ale któregoś dnia wszystko zacznie się od nowa.

– Nieprawda, to już koniec – sprzeciwił się Radek, kręcąc energicznie głową, jakby nie chciał do siebie dopuścić nawet takiej myśli. – Nie mogę się doczekać wszystkich tych przyjemności, które zastanę w domu – dodał, zmuszając się do uśmiechu.

Ale Krystian miał rację – to był dopiero początek.

Część I: Zjednoczenie

Rozdział I: Zapomniana przepowiednia

– Mam słaby wzrok... Nic nie widzę.

Hans skrzywił się, zniecierpliwiony.

– No to zerknij przez teleskop.

Z pewną irytacją obserwował, jak ojciec chwyta przyrząd drżącymi z napięcia rękami.

– Widzisz?

– Czekaj, czekaj... O, już...

Zaniemówił, z jego piersi wyrwało się zaledwie zduszone westchnienie.

Hans dał ojcu chwilę, by mógł nacieszyć oczy widokiem i dojść do siebie. On sam oraz matka i dwie młodsze siostry mogli dostrzec niecodziennie zjawisko gołym okiem. Ale tylko Hans zdawał sobie sprawę, że to, co widzą, jest niemożliwe.

Przez kilka chwil rodzina obserwowała niebo w milczeniu. Potem ojciec Hansa powoli odsunął się od teleskopu, o który natychmiast wszczęły kłótnię jego córki. Napotkał wzrok syna.

– Więc to jest ta... – Zmieszał się.

– Supernowa – przyszedł mu z pomocą Hans.

Ojciec pokiwał głową.

– No... robi wrażenie. Cudowny widok.

Hans roześmiał się sztucznie.

– Cudowny? Raczej przerażający. Nigdy nie słyszałem o tak bliskich kosmicznych eksplozjach, żeby dało się je obserwować z Ziemi gołym okiem. I to przez dziewięć nocy z rzędu. Można całe życie patrzeć na niebo przez teleskop i nie zobaczyć ani jednej, choćby najmniejszej supernowej. A to, co się teraz dzieje, jest... przerażające.

Nie potrafił znaleźć innych słów, tak jak nie umiał im tego wyjaśnić. Świat jego rodziny i świat nauki leżały na przeciwnych biegunach. Co ciężko harującego rolnika z Brandenburga mogły obchodzić jakieś kosmiczne rozbłyski?

– To, co mówisz, jest interesujące – odparł ojciec, choć wyraz jego twarzy zadawał kłam temu stwierdzeniu. – Ale co to może oznaczać?

Hans pokręcił głową i wzruszył ramionami. Tak naprawdę pomyślał o nadchodzącym końcu świata, ale nie wypowiedział na głos swoich przypuszczeń. Każdej nocy supernowa... Aż w końcu któraś z pobliskich gwiazd eksploduje z taką mocą, że zniszczy wszystkie ciała niebieskie w promieniu wielu lat świetlnych, łącznie z Ziemią.

Było w tym coś urzekającego.

– Świat staje na głowie – zawyrokowała jego matka i kręcąc głową, wróciła do domu.

Po pewnym czasie bez słowa odeszli pozostali. Został tylko Hans, obserwujący przez teleskop rozpraszającą się chmurę. Niedługo potem w miejscu wybuchu ziała czerń kosmosu.

Poczuł chłodny powiew wiatru, dopiero teraz zdając sobie sprawę z panującego zimna, jednak jeszcze długo nie ruszał się z miejsca.

To nie jest normalne. To nie jest normalne.

Głowił się, co znaczą te supernowe, szukał wyjaśnienia i nici łączącej poszczególne eksplozje. Może jednak stanowią naturalne zjawisko, wszechświat kryje przecież tyle tajemnic. Może to zwykły zbieg okoliczności. Może wszystko się mu przyśniło.

A może to zapowiedź końca.

Profesor David McGuire denerwował się.

Prezydent Stanów Zjednoczonych czekał na niego w swoim gabinecie, by poznać rezultaty jego ostatnich prac. Jednak nie samo przekazanie wiadomości było źródłem niepokoju uczonego; nie bez powodu usilnie zabiegał o prywatną rozmowę. Oczywiście nie chodziło o bzdury, zresztą nawet istotne informacje mógłby przekazać pośrednio, jak to zazwyczaj czynił. Tym razem chodziło o coś więcej – o jego własne domysły związane z nowym odkryciem.

Ale czy na pewno powinien się z nich zwierzyć? Czy prezydent potraktuje go poważnie?

Zawsze mi ufał. Poza tym sumienie nie pozwoliłoby mi pominąć w szczerej rozmowie moich obaw.

(Sam wiesz, jak absurdalnie to zabrzmiał. Jesteś pewien?)

Tak. Czy mam coś do stracenia?

(Reputację. Naprawdę wierzysz swoim przeczuciom?)

Zawahał się.

Tak.

(A więc jesteś największym durniem w całym wszechświecie.)

Och, zamknij się!

Zatrzymał się przed drzwiami gabinetu prezydenckiego, patrząc na nie jak skazaniec na szubienicę. Wciąż się wahał. Mógł jeszcze odejść, znalazłoby się alibi, ale ta decyzja poniosłaby za sobą przykre konsekwencje. Prezydent i tak dowie się o całej sprawie. Lecz nie pozna domysłów profesora, a od tego może zależeć... no, nikt nie wie jeszcze jak wiele.

(Racja, chrzanić to, najwyżej weźmie cię za starego dziwaka.)

Oby tylko.

Wziął głęboki wdech i zapukał.

– Proszę! – odpowiedział nieco ochrypły głos.

Chwycił klamkę, lekko pchnął drzwi i wszedł do środka. Przez chwilę nie mógł uwierzyć, że naprawdę się tu znalazł. Jasno oświetlone wnętrze było skromnie, lecz elegancko urządzone. Za słynnym biurkiem Resolute siedział sam prezydent. Na widok gościa odsunął na bok jakieś papiery, wstał i energicznie uściśnął mu dłoń.

– Witam, profesorze McGuire, miło pana widzieć. Proszę usiąść. – Wskazał krzesło naprzeciw siebie.

– Dziękuję – powiedział profesor, siadając.

Prezydent był wysokim i tęgim mężczyzną, z wciąż bujną czupryną pomimo pięćdziesiątki na karku. Uśmiechał się życzliwie, co rzadko czynił podczas publicznych wystąpień. Znał profesora od lat i darzył go czymś na kształt sympatii, co jednak nie dodawało McGuire’owi odwagi. Prezydent uchodził powszechnie za gwałtownika, choć nigdy nie wybuchł w obecności profesora. Ciekawe, jak zareaguje, kiedy stwierdzi, że szanowany uczony zawraca mu głowę szalonymi fantazjami?

– Słucham pana. – Splótł palce, oparty łokciami o blat, i wpatrzył się w rozmówcę.

McGuire poczuł niecodzienny skurcz w żołądku.

– To bardzo ważna sprawa – zaczął, ze zdumieniem odkrywając, jak ciężko zachować kontakt wzrokowy z tym człowiekiem. Ponadto od samego początku nie wiedział, co powiedzieć. – Jedna z naszych sond wróciła na Ziemię. Dzisiaj rano.

– Jaka sonda? – zapytał prezydent, kiedy McGuire się zaciął.

– Travelers XZ-032. Została wysłana przed kilkoma miesiącami w celu zbadania pasa asteroid między Marsem a Jowiszem. Miała pobrać próbki skał i wykonać zdjęcia.

Za trzema wysokimi oknami ziała ciemność nocy, która wydawała się profesorowi dodatkowo deprymująca.

– I...?

– Przejrzeliśmy zdjęcia, które zrobiła. Większość przedstawia to, czego się spodziewaliśmy. Część została zniekształcona z powodu ostatnich pobliskich wybuchów supernowych. I są jeszcze te zrobione przed kilkoma dniami... W sumie piętnaście zdjęć, które zdają się prezentować nie tylko asteroidy. A niektóre wręcz... coś zgoła innego. To może być rzecz jasna przypadek, jakiś pył mógł dostać się w kadr i zepsuć obraz, chociaż szczerze mówiąc, wątpimy...

– Profesorze McGuire – przerwał mu prezydent. W jego głosie brzmiała nutka zniecierpliwienia. – Proszę powiedzieć, co sfotografowała sonda.

– Statek kosmiczny. Dokładnie sprawdziliśmy. Zagadkowe obiekty w tle są do siebie zbyt podobne, byśmy mogli je brać za przypadkowe odpryski skał. Nie mamy teraz żadnych wątpliwości, że sześć dni temu w przestrzeni Układu Słonecznego znajdował się statek kosmiczny.

– O ile pamiętam, nie wysyłaliśmy od dawna żadnego promu.

– To nie był statek amerykański – odparł McGuire, przewidując już, jak potoczy się rozmowa.

– A zatem jaki? Rosyjski?

– Ani rosyjski, ani żaden inny.

Zapadła cisza. Spojrzenie prezydenta ponagliło profesora do kontynuowania wyjaśnień.

– Nigdzie nie produkuje się takich statków. Ten sfotografowany przez sondę miał podłużny kształt, wyglądał jak gigantyczna stalowa łódź. To na pewno nie było żadne ciało niebieskie. Szybko zmieniał miejsce położenia.

Twarz prezydenta stężała.

– Profesorze McGuire, niech pan nie żartuje.

– Nigdy nie byłem bardziej poważny, panie prezydencie.

(Widzisz? Nie było tak źle.)

Nie. Ale najgorsze dopiero przede mną.

– Sugeruje pan – na twarzy prezydenta pojawił się nieśmiały uśmiech – że mieliśmy styczność z... eee... istotami pozaziemskimi?

Jego wzrok naglił. McGuire przytaknął.

– Cokolwiek to było, z całą pewnością nie pochodziło z Ziemi.

Uśmiešek zniknął z twarzy prezydenta, ustępując miejsca wyrazowi podejrzliwości.

– Ma pan tutaj kopie tych zdjęć?

– Oczywiście.

– Proszę mi je pokazać.

Profesor wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki plik fotografii i położył na biurku. Prezydent zaczął je skrupulatnie przeglądać.

Niebo za oknem było czyste, bezchmurne. McGuire patrzył na błyszczące tajemniczo gwiazdy, zastanawiając się, czy gdzieś wśród nich naprawdę istnieje obca cywilizacja. Niezliczone ciała niebieskie... Wbrew obiegowej opinii szanse na zaistnienie tam warunków sprzyjających życiu podobnemu do ziemskiego były niewielkie, bliskie zeru. A co dopiero na powstanie rozwiniętej cywilizacji! To przekraczało jego pojęcie. Jeszcze wczoraj wyśmiałyby każdego, kto głosiłby obecność innych form życia w kosmosie. Lecz teraz prezydent USA trzymał w ręku dowody na to, że pisarze science-fiction byli w istocie prorokami. Każdy ufomaniak będzie od dziś chwalił się słuszością swoich poglądów. Świat stanął na głowie.

Ale czy głowa państwa uwierzy...?

– Wierzę panu – przerwał jego rozmyślania głos prezydenta odkładającego zdjęcia na biurko. – A więc można powiedzieć, że spotkaliśmy kosmitów.

McGuire przytaknął. Zauważył, że dłonie rozmówcy lekko drżały.

– W takim razie muszę pana zapytać, jako mojego doradcę do spraw kosmonautyki, czy oznacza to szansę na nawiązanie kontaktu z obcymi? Czy możemy wysłać nasze statki w tamten rejon kosmosu?

– Jeśli ma pan na myśli techniczne możliwości, jak najbardziej. Możemy wysłać całą flotę. Ale czy wystartuje, to zależy wyłącznie od pana.

– Skąd ta nuta niepewności? Już miałem zamiar powiadomić cały świat o tym niesłychanym odkryciu, natychmiast wysłać w kosmos loty załogowe... ale widzę, że nie jest pan do końca przekonany. Co pana trapi?

McGuire błdził wzrokiem po gabinecie, aż wreszcie skupił go na krawacie rozmówcy.

– Boję się.

No to się zaczęło.

(Oj, bracie, ale żeś się wpakował...)

– Boi się pan? – Niezdecydowany uśmiech powrócił na twarz prezydenta.

– Czego? Inwazji kosmitów? Sądzi pan, że są gotowi nas zaatakować?

– Tak – odpowiedział McGuire po chwili milczenia i to wyznanie zdumiało go w takim samym stopniu, co prezydenta.

– Zatem proszę o uzasadnienie pańskich obaw.

– Chodzi o... p-przepowiednię – odparł cicho profesor.

– O co?

– O przepowiednię – powtórzył głośno i wyraźnie McGuire.

Miał ochotę zamknąć oczy i obudzić się w innym wcieleniu. Albo przynajmniej w innym miejscu.

– Nie rozumiem. – Prezydent pokręcił głową.

– Mniej więcej trzy tysiące trzysta lat temu – zaczął McGuire, wbijając wzrok w biurko – nieznany kapłan egipski zapisał przepowiednię. Odnaleziono ją niedawno, przypadkiem zapoznałem się z jej treścią... i mam wrażenie, że właśnie się spełnia.

– Co to za przepowiednia?

– O wojnie i Dzieciach Stulecia. O spotkaniu ludzi i bogów, które doprowadzi do wojny między nimi.

- I uważa pan, że nasi kosmici są bogami z przepowiedni?
- Tak sędzę. Starożytni mogliby uznać przybyszy z obcych planet za bogów.
- To jednak chyba za mało, żeby wierzyć w takie brednie.

McGuire przemilczał ten afront.

– Przede wszystkim, zgodnie ze słowami przepowiedni wojna ma się rozpocząć wraz z pierwszym spotkaniem bogów i ludzi, a to przecież nasz pierwszy kontakt z obcymi. Po drugie, wojnę ma zwiastować pojawienie się dziewięciu słońc w kolejne dziewięć nocy, a tego właśnie doświadczyliśmy niedawno, kiedy można było zaobserwować z Ziemi eksplodujące supernowe. Dziewięć nocy z rzędu. Zjawisko o prawdopodobieństwie mniejszym niż znalezienie ziarenka soli w piaskach Sahary.

Kiedy uczony skończył, prezydent nadal świdrował go w zamyśleniu spojrzeniem. Wreszcie wycedził:

- Profesorze Davidzie McGuire, to najgłupsza rzecz, jaką w życiu słyszałem.

A więc już po wszystkim. Spodziewałem się tego.

(Bye bye, beautiful.)

– Jest pan poważnym naukowcem. Zaszedł pan naprawdę daleko i zawsze wysoko pana ceniłem. Jak może się pan przejmować bzdurami sprzed trzech tysięcy lat?

– Trzech tysięcy trzystu – poprawił McGuire, a widząc nastroszone brwi prezydenta, dodał: – Tak, jestem poważnym naukowcem. I dlatego muszę brać pod uwagę wszystkie dostępne fakty. Może pan myśleć, co chce. Ale ja wierzę w swoją teorię.

Nie wierzył natomiast, że to powiedział. Prezydent wstał, McGuire również, z trudem wytrzymując srogie spojrzenie rozmówcy.

Dobra, już po mnie.

(Die, die, my darling...)

– Jeżeli pańska teoria okaże się słuszna... spełnię każde pana życzenie. Czegokolwiek pan zażąda w ramach wynagrodzenia, otrzyma pan.

– Jeśli moja teoria jest słuszna – McGuire’a przerażała stanowczość we własnym głosie – oznacza to, że od pańskiej decyzji może zależeć życie całej ludzkości. I nie tylko. Wojna zniszczy wszystkich, ich oraz nas.

Prezydent zerknął na leżące na biurku zdjęcia.

– Chciałbym, żeby to okazało się snem...

– Uważam, że powinniśmy się wstrzymać z misją kosmiczną. Tak długo, jak się da.

Prezydent westchnął, wydawał się przybity.

– Dobrze pan wie, że spotkanie jest nieuniknione. Prędzej czy później... stanie się. Nie warto od tego uciekać. Możemy spróbować nawiązać pokojowy kontakt. Może się pan myli, a owa przepowiednia to brednie. Może nie musimy się niczego obawiać...?

Wymienili spojrzenia.

– Obiecuję mi pan, że zrobi wszystko, co w pańskiej mocy, aby nie doszło do żadnej wojny?

– Obiecuję.

McGuire odetchnął z ulgą, choć w środku cały się trząsł.

– Dziękuję. To wszystko, co chciałem panu przekazać. Niech pan przemyśli tę rozmowę, a potem zdecyduje zgodnie z własnym sumieniem. Do widzenia.

– Do widzenia.

Uścisnęli sobie dłonie, po czym McGuire opuścił gabinet.

Przez całą drogę powrotną rozmyślał, ledwo rejestrując, dokąd idzie. Prezydent miał rację, kontakt jest nieunikniony, a ekspedycja kosmiczna była tak naprawdę jedynym wyjściem. Jako naukowiec McGuire zdawał sobie sprawę z wagi odkrycia

i wiedział, że nie można go tak po prostu zignorować. Jego radę podyktował strach. Potwornie się bał.

Jednakże przepowiednia pozwalała także na zachowanie promyka nadziei. Wspominała o dwojgu Dzieci Stulecia, które jakoby mogły ocalić świat przed apokalipsą. Lecz o kim mowa? Gdzie znajdują się wybawcy? Jak ich znaleźć? A jeżeli to tylko metafora?

Warto się dowiedzieć. Bo czas nagił.

Wiercił się niespokojnie w łóżku. Było mu gorąco i duszno jak jeszcze nigdy tego lata. Leżał odkryty, lecz mimo to nie mógł zasnąć. Spojrzał w niebo za uchylonym oknem. Błady księżyc zdawał się go obserwować, czytać rozkołatanie myśli. Wraz z chłodniejszym powietrzem wlatywały do pokoju komary.

Jednak ani ciepło, ani komary, ani księżyc nie powodowały jego bezsenności. Ilekroć próbował zamknąć oczy, wracały wspomnienia. Widział obrazy, o których pragnął zapomnieć. Wdzierały się wszystkie naraz: każde wydarzenie, wzbudzające w nim strach lub rozpacz, przeżywał na nowo.

Chwile niewysłowionej paniki – przeżył ich mnóstwo podczas zeszłorocznych przygód. Tylko dlaczego odżywały jedynie złe wspomnienia, kłusując go jak wściekłe osy, trawiąc jak gorączka?

W jakiś sposób wiedział. Nie potrafił tego zdefiniować, ale rozumiał: w jego życiu nadejdą wielkie zmiany. Bał się ich, bo wiedział już, co oznaczają. Bał się nieznanego.

Momentami obrazy z przeszłości dręczyły go tak bardzo, że zapominał, gdzie jest i jak się nazywa.

A na imię miał Radek.

Rozdział II: Nowy początek

Niespokojna noc nie wpłynęła na Radka dobrze. Czuł się słaby i zmęczony, a nie mógł się położyć w ciągu dnia choć na chwilę, gdyż matka od samego rana zaganiała go do pracy. Miało to pozytywne strony, bo obawiał się, że wraz ze snem wrócą koszmary. Nie chciał znów przeżywać tych tortur, pragnął więc działać i zapomnieć o nocy, lecz co z tego, skoro był zbyt wyczerpany, by zająć się czymkolwiek.

Matka nie żałowała go.

– Ruszaj się, musimy to dzisiaj wszystko pozwozić! – skarciła syna, gdy z roztargnieniem wrzucał klocki drewna na taczkę. – Nie trzeba było tak długo siedzieć we wsi. Mówiłam, że się nie wyśpisz i masz!

Radek wrócił wczoraj do domu po dwunastej i tym mama tłumaczyła sobie jego ospałość. Nie zamierzał wyprowadzać jej z błędu.

Miał za zadanie pomóc w rąbaniu drewna na klocki i zwiezieniu ich do szopy, gdzie przechowywali je na zimę. Próbował się od tego zajęcia jakoś wymigać, gdyż drewna było dużo, a niewyspanie potęgowało jego niechęć do pracy.

– Mamo – jęknął, chwytając się ostatniej deski ratunku – obiecałem Arturowi, że przyjadę dziś do niego, żeby naprawić mu nagrywarke.

– Nie. Najpierw praca, a potem przyjemności. Będiesz mógł do niego pojechać, kiedy to zrobimy.

Radek westchnął i schylił się po następny klocek. Od kiedy ojciec wyjechał zagranicę, żeby zarobić więcej pieniędzy dla swojej niezbyt zamożnej rodziny, spadła na niego większość domowych obowiązków. Dwie starsze siostry miały już własne rodziny. Póki ojciec nie wróci, będzie mieszkał tylko z mamą.

Dzień był upalny, żar lał się z nieba, a pot rosił obficie czoło Radka. Męczył się w tym skwarze, choć miał na sobie wyłącznie przewiewny podkoszulek i krótkie

spodenki. Dobrze wiedział, że mama jest nie mniej znużona, choć za wszelką cenę starała się nie okazywać tego synowi.

Synowi, który z biegiem dni zawodził ją coraz bardziej.

Wczoraj znów wrócił późno, wbrew jej woli. Zdarzały się też inne, bardziej przykre incydenty, o których wołała nie pamiętać. Sytuacja trwała od jakiegoś roku i kobieta zastanawiała się, czy wiąże się to z dorastaniem – może powinna pogodzić się ze zmianą, jaka zaszła w jej dziecku? Bo choć pozornie Radek pozostał tym samym chłopakiem, to jednak... coś nie grało. Jakby wyrosła między nimi ściana utrudniająca porozumienie. Czuła, że traci matczyzny autorytet i obawiała się, że nigdy go już nie odzyska. Z córkami rzecz wyglądała zupełnie inaczej – w pewnym sensie nadal należały do niej. Radek się oddalał. Czasami sądziła, że coś go dręczy i to wpływa na jego zachowanie, ale nie potrafiła przebić się przez dzielącą ich barierę, by rozwikłać zagadkę. Dlatego starała się być wobec niego surowa, nie pozwalała na żadne wybryki, choć odnosiła wrażenie, że chłopak w tym wieku musi się jakoś wyżyć. Wydawało jej się, że nie gra swojej roli wystarczająco dobrze, nie spełnia należycie matczynego obowiązku. Traciła kontrolę.

Kolejna taczka została załadowana. Radek ruszył z nią ku szopie, mając już w głowie opracowany plan działania. Wjechał do środka, puszczając mamę przodem. W mgnieniu oka wyskoczył z szopy, zatrzęsął drzwiami i zanim jego oniemiała matka zdążyła zareagować, pobiegł w stronę domu, wskoczył na oparty o ścianę rower i odjechał.

Wiedział, że postępuje źle i że po powrocie będzie z nim krucho, jednak nie dbał o to. Nieprzeparta siła kazała mu pędzić przed siebie, jechać do Msześwicz, znaleźć się z dala od matki i domu. Pozostawienie jej samej przy pracy było wręcz okrucieństwem i w duszy tego żałował, lecz zarazem, ogarnięty dziwnym przymusem, pedałowal energicznie, jadąc polną drogą.

Dom Radka krył się wśród pól i lasów otaczających Msześwice, w odległości około dwóch kilometrów od wioski. Rowerem był mały, zwykły składak, więc musiał intensywnie przebierać nogami, ale pomimo gorącego południa nie ustawał. To drobnostka. Byle dalej...

Dręczyły go wyrzuty sumienia, lecz usprawiedliwiał się zmianą w zachowaniu mamy, jaka ostatnio w niej zaszła. Dawniej była zabawną, energiczną, niemal przebojową kobietą. Czasem nadal sprawiała takie wrażenie, jednak zmiana była wyraźna. Przyblakła i zgarbiła się, jakby przytłoczona jakimś ciężarem. Czyżby miało to związek ze starzeniem się? Niedawno została babcią... Po namyśle wykluczył tę ewentualność.

Nie chciał, żeby taki stan się utrzymał. Wydawało mu się niekiedy, że staje się dla mamy kimś obcym, kimś... niechcianym. Starał się zwrócić na siebie jej uwagę, pokazać, że istnieje, ale efekt tych prób był zazwyczaj odwrotny od zamierzonego. Co gorsza wiedział, że własnym zachowaniem sam podsyca nieprzychylność matki. I nie chodziło tylko o późne powroty do domu.

Może to przez kamień, który ostatnio przywiózł jej tata? Miała na jego punkcie świra. Nigdy przedtem nie interesowała się biżuterią, ale o ten niewielki kawałek czerwonego kryształu dbała jak o największy skarb. Ustawiła go na honorowym miejscu w pokoju – na półce nad telewizorem, gdzie wcześniej stał zegar. Kamień nie posiadał żadnej wartości – był po prostu ładną błyskotką – lecz jej to nie przeszkadzało. Położony na specjalnej podstawce, miał przykuwać wzrok każdego gościa. Jednak nikt nie zwracał na niego większej uwagi, co wcale jej nie zrażało. Doszło wręcz do tego, że nie pozwalała nikomu dotknąć kamienia i sama ocierała go z kurzu. Była religijna, lecz ten malutki przedmiot czczyła niemal jak bóstwo. Nadal na pierwszym miejscu stawiała rodzinę, choć czasami Radek czuł się spychany na dalszy plan. Nie wtrącał się między nią a kamień – ostatecznie każdy ma prawo do

małego bzika. Postanowił sobie jednak, że nigdy nie przywiąże takiej wagi do żadnego przedmiotu.

Dopiero gdy dotarł do wioski, oderwał się od rozmyślań. Kierował się do domu Artura, młodszego o dwa lata kolegi. Nie skłamał, mówiąc matce, że chce mu naprawić nagrywarke – naprawdę obiecał, że dzisiaj przyjedzie.

Po prawej, daleko za obszarem budynków, łąk i pól, zobaczył zarys rodzinnego domu dziecka państwa Kazikowskich. To właśnie w pobliżu niego, poza zasięgiem wzroku Radka, znajdował się dom Artura.

Odniósł przelotne wrażenie, że na jednej z łąk stoi grupka osób.

– Hej, Radek!

Odwrócił się w lewo, skąd dobiegał głos, a zlokalizowawszy jego źródło, zatrzymał się. Rozległ się zgrzyt otwieranej furtki. W jego stronę zmierzał wysoki, ciemnowłosy chłopak.

– Cześć – rzucili równocześnie i uścisnęli sobie dłonie.

Marcin, rówieśnik Artura, był niemal o głowę wyższy od Radka. Miał na sobie dresowe spodnie i zielony podkoszulek, obie rzeczy za małe o kilka rozmiarów, jakby jego matka przegapiła moment, w którym nagle urósł.

– Gdzie jedziesz? – zainteresował się.

– Do Dejka.

– Właśnie grałem w *Call of Gun* – poinformował z ożywieniem. – Mam do tego kody, chcesz?

– Nie, dzięki. Już przeszedłem.

Po Marcinie nie należało się spodziewać, że poruszy temat inny niż komputer i gry – był od nich wręcz uzależniony. Radka zdziwiło, że w ogóle wyszedł z domu, odrywając się na moment od swojego bożka. Przypominał pod tym względem jego mamę.

– Ja jestem w ostatniej rundzie – zapewnił, choć Radek dobrze wiedział, że po prostu nie chce okazać się gorszy. – Słuchaj, kupiłem sobie nowego twardziela i procka, normalnie full wypas! Chcesz zobaczyć?

– Jasne. – Radek wyraźnie się ożywił; daleko mu było do maniaka, ale też się interesował informatyką, dlatego nie mógł oprzeć się perspektywie zbadania nowego sprzętu.

Zostawił rower przy płocie i ruszył za Marcinem. Machinalnie zerknął na zegarek – i znieruchomiał.

– O kurde!

– Co jest?

– Obiecałem Arturowi, że będę o dwunastej, a już prawie pierwsza! – wyjaśnił, wskazując z powrotem na rower.

– Nie chcesz zobaczyć...

– Później! – krzyknął, oddalając się od zdezorientowanego Marcina.

Znow poczuł ukłucie żalu. Już drugą osobę zbył dzisiaj w ten sposób.

Asfaltową jezdnią dotarł do centrum wioski, gdzie w pobliżu przystanku autobusowego skręcił w prawo.

Niepokoił się, że Artura mogło już nie być w domu, ale szybko zapomniał o obawach. Mijając sklep, zauważył około dwanaście osób na pobliskiej łące, służącej niekiedy za boisko do gry w piłkę. A więc nic mu się nie przywidziało, gdy jechał do Msześwicz. Stali w ciasnym kręgu i wydawało mu się, że rozpoznał głos Dejka.

Zatrzymał się i odnotowując fakt, że żaden przechodzień nie zwraca na tę grupkę uwagi, zostawił rower pod sklepem. Ruszył w tamtą stronę, uznawszy, że nawet jeśli nie ma wśród nich Artura, to teraz kilka minut zwłoki więcej już nie zaszkodzi. W miarę zbliżania się rozpoznawał kolejnych chłopców ze szkoły. Usłyszał głos Szymona, kolegi z klasy:

– Zostaw go w końcu!

Nikt nie zauważył nadchodzącego Radka; przecisnął się pomiędzy gapiami, chcąc odkryć powód zbiegowiska.

Zamarł. Zobaczył Artura leżącego na ziemi – miał siniec pod okiem, a jego twarz wykrzywiało przerażenie. Leżał u stóp bardzo wysokiego jasnowłosego chłopaka. Ariel chodził z Radkiem do klasy, choć powinien już skończyć gimnazjum. Typ chuligana, któremu Dejek najwyraźniej niechcący załaził za skórę.

– Co, masz coś jeszcze?! – wrzasnął.

– Zostaw mnie... – jęknął Artur, bliski płaczu.

– Ariel, o co chodzi? – zapytał Radek. – Zostaw go.

Nie przepadał za tym osiłkiem, choć też nigdy nie okazywał mu jawnej niechęci. Czasami zastanawiał się, czy nie darzył go po prostu bojaźliwym respektem.

– Nie wtrącaj się! – warknął Ariel, nie spuszczając wzroku z ofiary. – A ty zapamiętaj sobie, młody, więcej mi nie podskakuj. Jasne? Bo oberwiesz bardziej.

Artur zakrył twarz, chyba zaczął płakać.

– Jasne?!

Dejek nie odpowiadał. Radek nie rozumiał dlaczego. Gdyby to zrobił, Ariel z pewnością zostawiłby go w spokoju.

– Jasne?!!!

Brak reakcji kompletnie wyprowadził napastnika z równowagi. Zgiął się, by dać kolejny pokaz siły, ale nim się zamachnął, powstrzymały go dwie pary rąk.

– Ej, już go zostaw, on ma dosyć na dzisiaj – mitygował Radek, choć trochę się bał, że jego interwencja zostanie niewłaściwie odczytana.

– Daj spokój, on jest o trzy lata młodszy – dodał Szymon.

Ariel szarpnął się i obaj go puścili. Spojrzał na nich z wściekłością.

– Jak jesteście tacy mądrzy, to sami podejdźcie i spróbujcie się ze mną!

Radek tego akurat się nie spodziewał. Ariel trząśł całą szkołą, ale nigdy nie zaczepiał nikogo ze swojej klasy. Musiał być naprawdę mocno wkurzony.

– Tylko głupiec używa siły do porozumiewania się z innymi – rzekł Szymon.

– Właśnie! – poparł go Radek, choć zazwyczaj kpił z podobnych tekstów.

Ariel roześmiał się, lecz jego śmiech podszyty był gniewem.

– Tchórzycie, co? Boicie się mnie? Boicie się!

– Wcale nie – odparł hardo Radek, zanim ugryzł się w język. Zdawał sobie sprawę, że tym razem Ariel nie będzie pobłażliwy.

– Nie? No to pokaż, co potrafisz.

Zbliżył się do Radka, który dzielnie stał w miejscu, choć nogi miał jak z waty i odnosił wrażenie, że drastycznie się kurczy.

– J-jak?

Ariel zachichotał.

– Skoro nie wiesz jak, to się dowiedz. Teraz nie mam czasu, więc dam ci szansę. Spotkamy się tutaj o dziewiątej i wtedy zobaczymy, kto jest silniejszy. Lepiej dla ciebie, żebyś się zjawił.

I odszedł, obdarzając go na pożegnanie drapieżnym uśmiechem.

Radek chciał coś powiedzieć, krzyknąć, że się nie zgadza, nie chce się bić, ale głos zamarł mu w krtani. Dopiero gdy Ariel zniknął, a gapie zaczęli się rozchodzić, ni to jęknął, ni parsknął. Starał się ochłonać, podczas gdy Szymon pomógł wstać młodszemu koledze.

– Jak się czujesz?

– Jak widzisz – odparł chrapliwie Artur; wyraźnie kulał na prawą nogę.

– Zaprowadzimy cię do domu – zaproponował Radek.

– Nie! – gwałtownie sprzeciwił się Artur. – Jak mama się dowie, to mnie zabije...

– Już i tak wyglądasz jak trup.

– Ja się jakoś wyliżę. Gorzej z tobą.

Cholerna racja, pomyślał Radek. Dobrze wiedział, że nie wyjdzie cało z tej walki. Bójki stanowiły stały program każdego dnia w wiosce, ale nigdy nie brał w żadnej udziału. Zwyczajnie nie miał do tego fizycznych warunków. To były jego ostatnie godziny na tym świecie. O dziewiątej nastąpi koniec.

– To co z tobą zrobimy? – zapytał Szymon.

Nim Artur zdążył odpowiedzieć, od strony sklepu doleciał głos:

– Cześć, co się dzieje? Coś przegapiłem?

Marcin zbliżał się do nich z szerokim uśmiechem na ustach, lecz kiedy zauważył, w jakim stanie znajduje się Artur, mina mu zrzędną i pobladła.

– O kurna! Co tu się stało?

– Później ci wszystko opowiemy – odparł Szymon.

– Tak – potwierdził Radek. – Teraz musimy przede wszystkim zająć się Dejkiem. Ale u niego w domu nie możemy...

– Ja mam wolną chatę – ożywił się Marcin. – Chodźcie szybko, bo widać, że z nim krucho.

Wszystkie wydarzenia tego dnia wydawały się Radkowi nierzeczywiste, niczym jakiś dziwny sen. Nie wierzył, że działy się naprawdę. Usiłując nie myśleć o nadchodzących godzinach, wziął swój rower, i we czwórkę udali się do domu Marcina. Nie rozmawiali wiele. Szymon milczał przez całą drogę.

Był to wysoki, rudy chłopak z gigantycznymi piegami. Mówią, że piegowaci opalają się przez sito – jego musiało być bardzo postrzępione. Od roku mieszkał w domu dziecka. Podobno pochodził z rozbitej rodziny, ale nikt nie znał dokładnie jego historii. Oczywiście nie zapytano go o to wprost, a sam nie zaufał nikomu na tyle, by się zwierzać. Chodzili razem do drugiej klasy gimnazjum, lecz Radek nie znał go zbyt dobrze. Towarzyski chłopak, ale raczej małomówny.

Niekiedy miewał wrażenie, że Szymon uważnie go obserwuje. Nie rozumiał dlaczego i udawał, że tego nie widzi.

Również teraz nie spuszczał z niego wzroku. Radek zerknął na piegusa i szybko odwrócił oczy. W tej krótkiej chwili uzmysłowił sobie, że dziś jest jedenasty sierpnia. Nie rozumiał, dlaczego tak mocno uderzyła go świadomość tej daty – jakby było to bardzo ważne, jakby wiele od tego zależało...

Ponownie zerknął na Szymona – i, o dziwo, natychmiast znalazł odpowiedź. Momentalnie wróciły do niego wspomnienia sprzed roku, ostre i wyraźne, jak film o najwyższej jakości obrazu. Przypomniawszy sobie poprzedni jedenasty sierpnia.

Leżał na szpitalnym łóżku podłączony do kroplówki. Wraz z nim na sali znajdowali się jego dwaj przyjaciele. Byli słabi i obolali, nie wiedzieli nawet, jak się tam znaleźli. Ale to nie miało znaczenia, liczyło się, że przeżyli. Przetrwali coś, czego nie życzyliby najgorszemu wrogowi.

Czuli się bezbronni. Rozmawiali, dodając sobie otuchy. Nie tak to miało wyglądać. Kogoś brakowało. Nie było z nimi tego czwartego; tego, który zginął...

Pojawili się rodzice z lekarzami. A więc nareszcie wrócili. Tułaczka trwała cztery tygodnie, najdłuższe cztery tygodnie ich życia. Mieli o nich nigdy nie zapomnieć... ale Radek zapomniał. Wyparł ze świadomości fakt, że żyje tylko dzięki ogromnemu szczęściu, a może boskiej opatrności – kto wie. Zapomniał, że otarł się o śmierć...

Zapomniał!

Jedenastego sierpnia, trzysta sześćdziesiąt pięć dni temu, zakończyła się największa przygoda jego życia.

Dlatego ten dzień był tak ważny. Dopiero teraz zrozumiał. Omal nie zatracił czegoś bardzo ważnego, zapominając o...

– Połóż się i odpocznij – zwrócił się Marcin do Dejka. – Zaraz przyjdę.

Dom ich kolegi był duży i przestronny. Radek i Szymon usiedli w fotelach. Marcin opuścił salon, ale zaraz wrócił z lodem – który Artur przyłożył sobie pod oko i do nogi – potem zaparzył wszystkim herbatę.

Szymon opowiedział, co się wydarzyło. Chłopcy grali w piłkę na łące, gdy Ariel, jak to miał w zwyczaju, zaczął faulować i oszukiwać. Artur wyraził swoje oburzenie i to wystarczyło, żeby sprowokować Ariela.

Radek słuchał Szymona, ale bardziej interesowało go, co w tym piegusie kryło się takiego, że przypomniał mu o rocznicy. Zadziałała chyba podświadomość... Jedynym logicznym związkiem było to, że Szymon mieszkał w domu dziecka, podobnie jak...

– Więc takie buty – skwitował Marcin i ze współczuciem spojrzał na Artura. Potem skierował wzrok na Radka, nieprzytomnie gapiącego się w przestrzeń. – Jaki masz plan?

– Eee... co? Ja? Co mówiłeś?

– Co się z tobą dzieje? Pytałem, czy masz jakiś plan?

– Plan?

Marcin spojrzał na niego z ukosa.

– Przecież masz się bić z Arielem. Już nie pamiętasz?

– Aha! Pewnie... – ale dopiero po chwili zrozumiał, co mówi, i dodał: – ...że nie.

– W takim razie musimy coś wykombinować – zdecydował Marcin, ignorując dziwaczne odpowiedzi Radka.

– No dobra. Więc jakie mam szanse?

– Przeanalizujmy wszystko po kolei – zaproponował Szymon. – Ariel jest starszy. Ariel jest silniejszy. Ariel bije się codziennie, ty nigdy. Słaby punkt Ariela: brak. Podsumowując: jego szanse na zwycięstwo wynoszą sto procent, twoje zero.

– Dzięki. Czyli już po mnie.

– Możesz nie przyjść – zauważył Marcin.

Radek pokręcił bezradnie głową i westchnął.

– Powiedział, że jak się nie zjawię, to mnie dopadnie.

– Nie masz wyboru – stęknął z kanapy Artur. – I tak zginiesz... Wiesz, nie musiałeś się w to mieszać. W końcu by mnie zostawił.

Pozostali przemilczeli jego uwagę, dobrze wiedząc, że się mylił. Ale faktycznie, Radek sam sprowokował Ariela, mówiąc, że się go nie boi. I teraz musi za to zapłacić.

– Jadę do domu – oznajmił. – Chcę po raz ostatni go zobaczyć... Może coś wymyślę.

– Ja też idę. – Szymon wstał. – Spotkamy się w umówionym miejscu przed dziewiątą. W razie potrzeby pomożemy ci. Istnieje szansa, że Ariel oleje sprawę i się nie zjawi.

Radkowi zrobiło się lżej na sercu, wiedząc, że ma na kogo liczyć. Razem z Szymonem opuścili dom Marcina, na którego towarzystwo został skazany Artur. Może w coś pograją.

W drodze do domu Radek usiłował skupić się na Arielu i sposobie uniknięcia śmierci, ale za bardzo zaprzątały go wspomnienia.

Pamiętał, co wydarzyło się po powrocie. Gdy on i przyjaciele wyzdrowieli, zleciało się mnóstwo dziennikarzy, śledczych i różnych innych ludzi, pragnących poznać ich historię. Sprawę nagłośniono. Opowiedzieli wszystko, ale nikt oprócz rodziców – co zresztą też było wątpliwe – nie dawał wiary ich słowom. Nic dziwnego; mówili o wilkołakach i wampirach, stworach z bezludnej wyspy, wędrownkach w czasie oraz w inne wymiary. Co prawda tłumaczyłoby to, jakim cudem ocaleli z katastrofy statku na Karaibach i trafili do Europy, ale ostatecznie wyszli na oszustów. Nie przejmowali się tym. Pragnęli jedynie spokoju.

Były też dobre skutki. W wyniku śledztwa w sprawie zaważenia się szkoły w Timosinie stwierdzono, że chłopcy zostali porwani przez jej pracowników

i wykryto prowadzoną tam nielegalną działalność. Zbrodniarzy, którzy ocaleli, ukarano. Sprawiedliwości stało się zadość, zemsta się dopełniła.

Uznano, że chłopcy doznali szoku i dlatego wygadywali bzdury. Badający ich psychologowie nie stwierdzili jednak u nich uszczerbku na zdrowiu psychicznym. Cała afera w końcu ucichła i mogli wrócić do szarej codzienności.

Zastanawiał się czasem, czy to nie oni sami są odpowiedzialni za śmierć setek dzieci, które znajdowały się wówczas w Akademii. Nie pamiętał dokładnie, co się tam wydarzyło, czy ich działania spowodowały eksplozję. To wszystko mogło być iluzją. Poza tym kto wie, czy wybuch nie okazał się dla dzieci ratunkiem. I tak były skazane na śmierć, wypadek skrócił ich cierpienia.

Potem już żył zwyczajnie, jak przed całą historią, jak zwykły czternastolatek. Wspomnienia z dnia na dzień blakły, odrealniały się, nabierając znamion snu. Aż wreszcie przestał rozpamiętywać.

Źle się stało. Za żadne skarby nie powinien wypierać z głowy tamtych wydarzeń.

Zbliżając się do domu, zobaczył matkę przy pracy. Dopiero teraz przypomniał sobie, jak potraktował ją rano. Nie chcąc najeść się wstydu, schował się za domem i usiadł pod ścianą. Myślał intensywnie, szukając sposobu na uniknięcie walki z Arielem. Modlił się, by jego rywal nie przyszedł.

Matce na pewno niczego nie zdradzi, o nie.

Pomyślał o Sylwii, swojej dziewczynie. Czy powinna wiedzieć? Po krótkiej batalii z samym sobą zdecydował się do niej napisać. Wyjął z kieszeni telefon i w tym samym momencie poczuł, jak żelazne kleszcze zaciskają się na jego uchu i ciągną w górę. Jęknął żałośnie, a po chwili patrzył na triumfującą minę matki.

– Tu cię mam, cwaniaczku! Tym razem się nie wywiniesz. Jazda, do roboty!

Nie odzywali się do siebie w trakcie pracy. Myśli Radka krążyły wyłącznie wokół Ariela. Nie znalazł żadnego sposobu, całą nadzieję pokładał w Marcinie,

Szymonie i Dejku. Pomyślał jednak, że nawet gdyby we czwórkę stanęli naprzeciw niego, to Ariel jest przecież bardzo silny. Bardzo.

Gdy skończyli, matka opuściła go bez słowa. A on zaczął przygotowywać się na najgorsze.

Z niepokojem zerkał na zegar wiszący na ścianie. O wpół do dziewiątej wyszedł z domu, nie mówiąc mamie, dokąd się wybiera. Szedł pieszo, nie brał roweru – pewnie i tak nie będzie w stanie go odprowadzić.

Obok strachu pojawiła się pewna duma. Choć nie miał najmniejszych szans, dzielnie podniósł rzuconą rękawicę. Czy kiedykolwiek zdobył się na podobną waleczność? Tak, ale to było dawno... i w innym świecie.

Gdy dotarł do wioski, wyciągnął szyję, by zobaczyć, czy ktoś jest już na łące. Odległość była duża, widok zasłaniały budynki i drzewa, ale ostatecznie z przykrością stwierdził, że nikogo tam jeszcze nie ma.

W serce Radka wkradło się zwątpienie. Czy kumple się zjawią? Czy nie zrezygnują w chwili, gdy ważą się jego losy? Czy mu pomogą?

Droga przez wioskę ciągnęła się w nieskończoność. Wydawało mu się, że pamięta każdą sekundę z dzisiejszego dnia. Westchnął ciężko, starając się oczyścić umysł z myśli o przeszłości i przyszłości.

Za sklepem czekali Artur i Szymon.

– Ariela jeszcze nie ma? – zapytał, siląc się na spokój.

Pokręcili głowami.

– A Marcin?

– Nie mógł przyjść – wyjaśnił Artur. – Mama mu zabroniła. Oczywiście ona o niczym nie wie – dodał pośpiesznie, widząc minę Radka.

– Może Ariel nie przyjdzie? – Powtarzał w myślach tę kwestię przez cały dzień.

– Może...

Dejek wyglądał lepiej niż u Marcina. Poruszał się normalnie, więc noga zapewne już go nie bolała. Siniak pod okiem jakby się zmniejszył. Niebawem zacznie żartować z całej sprawy. Chyba że Radkowi stanie się coś poważniejszego – wówczas jeszcze długo będzie się to za nimi ciągnąć.

Może zapomniał, oleje to, może tylko się popisował, może nic mi nie robi...

– cicha litania przewijała się przez umysł Radka.

Lecz przyszedł. Wszyscy troje patrzeli, jak zbliża się ku nim z bezczelnym, jadowitym uśmiechem. Czując dziwne sensacje w żołądku, Radek uświadomił sobie, że nie jadł kolacji. Denerwował go ten uśmiech.

– Przyszedłeś z obstawą? – zakpił Ariel.

Nie odpowiedział, w głowie miał pustkę. Nie spuszczał wzroku z rywala, ale wydało mu się, że Szymon i Artur cofnęli się o krok.

– Co, gotowy na manto? – zagadnął Ariel.

– A ty?

Miał ochotę odwrócić się i zbadać reakcję kumpli na tę hardą odpowiedź, ale wiedział, że musi utrzymać kontakt wzrokowy z przeciwnikiem.

– Naprawdę niezłe – odparł Ariel, rechocząc. – Więc pokaż, co potrafisz! No, spraw mi manto!

Cała odwaga Radka zawarła się w poprzedniej butnej odzywce. Teraz nie został po niej nawet ślad.

– Eee... to... to ty chciałeś się ze mną bić...

– Zgadza się – przyznał Ariel wciąż z tym samym irytującym uśmiechem.

Podszedł tak blisko, że niemal się ze sobą zetknęli. Spoglądał z góry na mniejszego przeciwnika, skutecznie wzbudzając w nim lęk. Przypominał olbrzymiego orła nad ciałem królika.

– Czekaj! – wypalił Radek ze świadomością, że postępuje absurdalnie.

– Mieliliśmy zacząć o dziewiątej... jeszcze minuta!

Wściekły grymas wykrzywił twarz Ariela.

– Gównu mnie to obchodzi.

Radek ledwie zauważył gwałtowny ruch rąk, które z niewiarygodną siłą uderzyły go w pierś. Upadł na twardy grunt, czując, jak ból z pleców promieniuje na całe ciało. Jęknął. Jeszcze nigdy tak go nie poniżono.

Był pewien, że nie da rady się podnieść. Usłyszał chichot wroga i błagania kolegów.

– Ariel, daj spokój... Zostaw go...

– A teraz ładnie pożegnaj się z przyjaciółmi – powiedział oprawca, ignorując prośby.

Radek leżał bezsilny w przeczuciu zbliżającego się końca. Miał ochotę płakać. Zamknął oczy, kiedy Ariel uniósł pięść i zgiął się.

– Stój!

Ostrożnie uniósł powieki, szukając osoby, która wstrzymała egzekucję. Jej głos – twardy, zdecydowany – wydał mu się teraz najpiękniejszy na świecie.

Wszyscy spoglądali na przybysza. Radek musiał się przesunąć, żeby dojrzeć wybawcę, bo zasłaniał go Ariel. Wyciągnął szyję – i oniemiał.

Nie wierzył.

– Zostaw go – padło polecenie.

– A ty coś za jeden? – warknął Ariel; uśmiech spełził mu z twarzy.

Najwyraźniej go nie pamiętał. Ale Radek tak. Nie mógłby go zapomnieć ani pomylić z nikim innym.

Wyglądał nierealistycznie w blasku zachodzącego słońca, jak zjawą. Wyprostowany, niższy od Ariela, którego świdrował spojrzeniem niebieskich oczu. Radek rozpoznał go od razu, choć zmienił się od ich ostatniej rozmowy, rok temu.

Z pewnością był wyższy. Blond włosy, krótsze niż kiedyś, lekko pociemniały. Sylwetka również się zmieniła, wydawał się bardziej barczysty. Miał na sobie chyba te same spodnie khaki i czarny podkoszulek, które nosił, gdy widzieli się ostatnim razem. Teraz czyste, wyglądały jak nowe.

Kotłowały się w nim sprzeczne uczucia. Strach, bezgraniczne zdumienie, przyjaźń, nienawiść, odwaga, siła, słabość – wszystko to wirowało w jego głowie jak w betoniarni, mieszając się w równych proporcjach.

Twarz przybysza nie wyrażała żadnych uczuć, ale gdzieś w głębi jego oczu Radek dostrzegł odrobinę żalu i współczucia, a także gotowość – na wszystko, co może się zdarzyć.

Ale jak to możliwe? Jakim cudem się tu znalazł? Czy to duch, złudzenie? Przecież zginął dawno temu, przepadł w miejscu, z którego nie da się wrócić...

A jednak stał tu. Mętlik w głowie Radka narastał, czuł, że traci kontakt z rzeczywistością. Zastanawiał się, czemu przybycie chłopaka nie wywarło podobnego wrażenia na pozostałych, aż dotarło do niego, że Szymon nigdy go nie widział, Artur znał bardzo słabo, zaś Ariel, interesujący się jedynie sobą, zapomniał.

– Czego tu szukasz?! – warknął Ariel.

– I tak nie zrozumiesz.

– Więc zjeżdżaj i nie przeszkadzaj – odparł burkliwie.

– Nie.

Ariel przyjrzał się przybyszowi uważniej.

– Zaraz, ja cię chyba skądś znam... – Zmarszczył czoło, ale nie wymyślił nic mądrego, więc po chwili dodał: – Zresztą nieważne. Słuchaj, koleś, jeśli zaraz stąd nie znikniesz, to...

– To co?

– To nie będziesz miał już gdzie wrócić – dokończył Ariel, a uśmiech wrócił na jego twarz.

W odpowiedzi uśmiechnął się również przybysz.

– Tak się składa, że nie mam dokąd wracać.

– Wiesz co, zaczynasz mnie drażnić.

Przybysz poruszył się dopiero, gdy Ariel się zamachnął, i z łatwością odparował atak.

– Chcesz się bawić, tak? – syknął Ariel.

Zadawał kolejne ciosy, ale przeciwnik blokował każdy ze spokojem, samemu nie trując się, by uderzyć. Ariel zmęczył się i zaczął obawiać rywala.

– Coś ty za jeden? – wysapał.

– Ktoś, kogo na długo zapamiętasz.

Z gardła Ariela wydobył się dziwny warkot, po czym znów zaatakował. Przybysz błyskawicznie sparował jego cios i przyłożył mu w twarz przedramieniem. Ariela odrzuciło; upadł na ziemię. Szybko wstał, by nie okazać słabości.

W ostatniej desperackiej próbie ruszył dziko na wroga i wtedy Radek, dotąd przyglądający się biernie, postanowił zadziałać. Z ziemi kopnął Ariela pod kolana – ten zachwiał się i z krzykiem wylądował na glebie. Radek wstał i uśmiechając się drwiąco, spojrzał na niego z góry.

Gdy Ariel odkrył, kto go powalił, wyglądał, jakby miał się zaraz rozplakać. Wzrokiem błędził desperacko od Radka do przybysza, po czym pokręcił głową, wstał niezdarnie i uciekł, potykając się po drodze. Strach dodawał mu sił, więc już po chwili stracili go z oczu.

Radek poczuł we włosach powiew chłodnego wieczornego wietrzyku. Zapadła cisza, odgłosy z wioski wydawały się bardzo odległe. Zostali tylko oni, przyjemny wiatr i wielkie słońce, kończące swój żywot, by nazajutrz odrodzić się na nowo.

Szymon i Artur milczeli, za co Radek był im w duchu wdzięczny. Może podskórnie czuli, co znaczy dla niego ta chwila.

Patrzył na przybysza bez słowa. To na pewno był on, nie żadna zjawa. Powrócił.

– Cześć, Radek.

Długo nie mógł wydobyć z siebie głosu. To było zbyt niewiarygodne. Widział go i słyszał, tak jak Szymon i Artur, ale... wciąż nie potrafił uwierzyć.

– Cześć... Darek. – Wypowiedzenie jego imienia przyszło mu z niemal bolesną trudnością. – Ty... jak... ale...

– Spokojnie. – Darek uśmiechnął się ciepło i przyjaźnie, rozwiązując mu tym język.

– Miło znów cię widzieć – palnął, nie mogąc znaleźć odpowiednich słów.

– I ciebie.

– Ale jak? – wyrzucił z siebie, kompletnie zapominając o pozostałych. – Jak to się stało, że wróciłeś, przecież tam...

– Szczerze mówiąc, sam nie wiem. Są rzeczy, o których nie śniło się filozofom. Jeżeli chcesz, mogę opowiedzieć ci wszystko, co pamiętam i co sam wynioskowałem, ale to niewiele tłumaczy.

Wówczas jakby coś w Radku pękło – po prostu impulsywnie przywarł do Darka i uścisnęli się. Musiał upewnić się, że jest prawdziwy. Poczuł łzy napływające do oczu, zacisnął powieki. Nie potrafiłby wyrazić rozpierającej go radości.

Gdy odsunęli się od siebie, pokręcił głową bez słowa, ale Darek zrozumiał.

– Uwierz – powiedział. – Dobrze wiesz, że to się dzieje naprawdę.

Radek milczał przez chwilę. Teraz miał wrażenie, jakby Darek nigdy nie zginął. Jakby zawsze był razem z nim, ukryty w zakamarkach umysłu; jakby podświadomie wiedział, że gdzieś tam on nadal żyje.

– Opowiadaj, co się z tobą działo – rzekł rozgorączkowany.

– Nie wiem, czy mogę. – Darek rzucił ukradkowe spojrzenie na niemych świadków tego spotkania.

– Bez obawy. – Radek uśmiechnął się. – Będą milczeli jak grób.

Szymon i Artur pokiwali gorliwie głowami.

Przemknęło mu przez myśl, że tylko Szymon, który nigdy Darka nie widział, zna pełną historię ich podróży – chyba nikt poza nim nie czytał pamiętnika Radka. Teraz piegus uważnie przypatrywał się przybyszowi.

– W porządku – zgodził się Darek. – W takim razie najpierw pokażę wam powód, dla którego się tutaj zjawilem.

– Pokażesz... powód? – powtórzył Radek.

– Tak.

Zanurzył dłoń w kieszeni spodni. Skupili się w ciasnym kręgu. Po chwili Darek wyciągnął zaciśniętą pięść. Gdy ją otworzył, Radek doznał szoku. Zobaczył mały czerwony kryształ – identyczny jak ten należący do jego matki.

Kamień lśnił bajecznie w promieniach zachodzącego słońca.

Oficyna wydawnicza [RW2010](#) proponuje:

Dariusz Kankowski: Re-Horachte. Pierwsze spotkanie

Podróż, przygoda, przyjaźń, poświęcenie.

Pierwsza część cyklu Re-Horachte. Powieść przygodowo-fantastyczna, w której akcja goni akcję i roi się od tajemnic. Czterech chłopców wyrusza w rejs, który na zawsze odmieni ich życie. Zaczyna się od katastrofy morskiej, następnie wybucha wulkan, a potem napięcie rośnie.

Młody autor w swoim powieściowym debiucie funduje nam fantastyczną podróż, pełną przygód, zwrotów akcji, gwałtownych emocji i wzruszeń. Czytelnik, zasiadając do lektury, rusza razem z młodymi bohaterami w jazdę bez trzymanki. Czekają ich: walki, ucieczki, dziwne spotkania, wędrówki w czasie i przestrzeni, zmagania z przeznaczeniem, mordercze turnieje, a przede wszystkim szukanie drogi do prawdy o sobie samym...

Martyna Goszczycka: Odrodzenie

Pierwsza część sagi Wizji Paranormalnych. Przedświat demonów i Zaświat nimf, barwne aury i Zwierciadła Duszy, boginie stworzone przez alchemika i bezduszne reguły Syndykatu Skrytobójców, Sny, które przerażają i fascynują zarazem. Oto świat, w którym dorasta młody demon Haru – uczy się, jak przeżyć i jak zabijać, walczy, by zostać uczniem okrutnej białowłosej. A może jest lub stanie się dla niej kimś więcej? Może on też czegoś nauczy piękną Plage...

Odrodzenie to mroczna powieść fantasy, pełna przemocy, śmierci, scen walki, ale także kipiących emocji i rodzących się uczuć. Autorka to absolutna debutantka, która bez kompleksów, za to z rozmachem wprowadza nas w swój świat wyobraźni, ciekawie łącząc horror, fantasy i powieść z gatunku płaszcza i szpady.

Kontynuacja sagi w powieści *Potępienie*.

Dawid Juraszek: JEDWAB I PORCELANA, TOMY I, II, III i IV

Jedwab i porcelana to orientalna powieść drogi – drogi wiodącej przez labirynty przeznaczenia i przypadku, przez mroczne tajemnice ludzi i bóstw, przez obce krainy rodem z mitów i annałów, przez zakamarki skrywanych namiętności i rwących się do urzeczywistnienia marzeń.

O Chinach nikt jeszcze w Polsce tak nie pisał. Cesarstwo Środka to miejsce, gdzie ścierają się siły ludzkie i moce nadprzyrodzone, gdzie niebezpieczeństwo nigdy nie jest daleko, a przygoda zawsze zaskakuje. Pośród bitewnego zgiełku, upiornych nawiedzeń i cielesnych pokus bakałarz Xiao Long zмага się z własnymi demonami i samym sobą. *Jedwab i porcelana* to opowieść o Chinach i Chińczykach, opowieść jak ze snu – snu, z którego trudno się otrząsnąć.

Zapraszamy do lektury czterech fascynujących tomów. *Biały tygrys* i *Niebieski smok* (nowe wersje) oraz *Czerwony ptak* i *Czarny żółw* (prapremiery).

Radosław Lewandowski: YGGDRASIL. STRUNY CZASU

Struny czasu opisują zmagania kilkudziesięcioosobowej średniowiecznej społeczności, przeniesionej przypadkowo i bezpowrotnie w okres paleolitu środkowego, w czasy gdy po ośnieżonych równinach dzisiejszej Europy wędrowały olbrzymie stada reniferów, dzikich koni i ciągnących w ślad za nimi drapieżników. Potężne mamuty nie miały godnych siebie przeciwników,

z wyjątkiem mrozu i prymitywnych słabo uzbrojonych łowców, którzy równie często występowali w roli myśliwego co ofiary.

Wraz z mieszkańcami wioski, w przeszłość zostaje przeniesiony niewielki oddział Wikingów, najemników, których Thor wystawił na najcięższą próbę w drodze do Walhalli. Temporalni podróżnicy, a wraz z nimi cała ludzkość, stają w obliczu wielkiego niebezpieczeństwa.

Kontynuacja serii w powieści *Yggdrasil. Exodus*.